

Iluminacje

I — Zapalka

Spośród wszystkiego, co żywe na Ziemi jako ludzkość posialiśmy tak wiele mocy umysłowej, że na długo przed wynalezieniem pierwszych kalkulatorów czy astrolabiów pewien mądry człowiek zwany Eratostenesem wyliczył z dużą dokładnością obwód naszej planety. Mimo że te dane są znane od tak dawna, to kiedy ludzki umysł słyszy o dziesiątkach tysięcy kilometrów, jedyne co przychodzi mu na myśl to abstrakcyjne słowo dużo. Dopiero gdy postawi się przed nim odpowiedni przykład (*musiałbyś iść ponad 13 lat bez przerwy, by obejść Ziemię*), zda sobie sprawę z faktycznej wagi takiej suchej statystyki, do której (o słodka ironio) przecież sam doszedł. Ciężko nam pojąć znaczenie liczb, a statystyka bez ilustracji jest zwyczajnie niczym. Sama się o tym przekonałam.

Jak się okazało na początku ubiegłego wieku w mojej małej, uroczej miejscinie mieszkało około setki Żydów (1%). Dużo? Mało? To zależy. W jednych dziedzinach życia 1% to wręcz niespotykana ilość, w innych to zaledwie margines błędu. Trudno mieć jakieś odczucia względem cyfry, przynajmniej dopóki życie nie skonfrontuje cię z historią jednego z ludzi, którzy zawierali się w tym nieśmiałym jednym procencie. Los zdecydował, że doprowadzi mnie do dziejów rodziny Hollaender. Dokładniej do jednego z synów tej rodziny — Geoga Hollaendera, który swoją młodość spędził w moich rodzinnych Szamotułach, chociaż sam znał je pod niemiecką nazwą Samter.

Było to jeszcze w tym momencie w historii, gdy próżno można było szukać czegoś takiego jak Polska na mapach świata. Ta rzeka nieustannie płynącego czasu zmieniła tak wiele na świecie, że gdy skończyłam czytać wszystko, co udało mi się na temat Geoga znaleźć, zapłakałam. Niemal niemożliwe jest do zrozumienia dla osoby żyjącej w XXI wieku, że można mieć tak mało informacji o jednym człowieku. Dziś wystarczy kliknięcie, chwila scrollowania i już wiadomo, gdzie kto mieszka, pracuje, kogo zna, co lubi, czego nie, a nawet co jadł na śniadanie dwa tygodnie temu. Biorąc pod uwagę tę skalę, niewiele wiem na jego temat. Tak wiele pozostaje w sferze domysłów. Jak radził sobie w szkole? Jaką miał relacje ze swoim rodzeństwem? Jakie miał marzenia, plany, ambicje? Jaki był jego charakter? Czy był szorstki i stanowczy, czy może jednak zawsze nosił ciepły uśmiech na twarzy? Poznałam jego życie, ale nie dałam rady i nigdy nie będzie mi dane poznać samego człowieka. Jednak prędko okazało się, że jeszcze mniej informacji można znaleźć na temat jego rodziny. Biorąc pod

uwagę te okoliczności, otarłam łzy i zagłębiłam się we wspomnienia Georga Hollaendra — moje magiczne zwierciadło, w którym odbijała się rzeczywistość Szamotuł sprzed wieku.

II — Świeca

Patrząc na stare zdjęcia i pocztówki, zauważyłam, że w mieście zmieniło się tak wiele, ale nadal można je bez trudu rozpoznać. Charakterystyczny kształt kamienic z Poznańskiej, budynek dworca czy wodociągów po dziś dzień cieszą (lub smucą) oko każdego przechodnia, tak jak to robiły sto lat temu. Niemi świadkowie historii, ileż bym dała, by otworzyć wam usta.

Przechodziłam ulicą Poznańską setki razy, bez namysłu mijając małe sklepiki, które, przeplatane drzwiami do mieszkań, rozciągają się długą wstęgą po obu stronach. Lumpeks, krawcowe, biuro podróży, fotograf i kilka butików — pomiędzy jednym z nich a pasmanterią znajduje się niczym nieodstający od reszty budynek opatrzony numerem 11.

Jednak w świecie ze wspomnień Georga znajdowała się tam firma garbarska jego matki, a na elewacji widniała liczba 18. Doris Hollaender, która niestety dosyć szybko została wdową, jakby było tego mało, musiała utrzymać i wychować nie dwójkę czy trójkę, ale siódmkę dzieci. Pomimo tak sporej liczby rodzeństwa Georg nie pisze o nich zbyt wiele. Czy wspólnie z braćmi biegał po podwórku za piłką? Czy ciągnął starsze siostry za warkocze? A może ich relacja była nieszczególnie ciepła i opierała się na zwykłej tolerancji swojej wzajemnej egzystencji, jak to wśród rodzeństwa bywa?

Mimo tych niedomówień i ogólnikowego opisu rodziny niemal widzę jego skryty uśmiech, gdy pisał o tym, jak to w wieku dziewięciu lat sam w pierwszy dzień Paschy prowadził rodzinie Seder. Chyba nie ma na świecie nikogo, kto nie odczuwałby dumy, gdyby przypadło mu w udziale przewodnictwo w święcie tak ważnym dla jego religii, jakim jest Pascha dla Żydów. Georg z nostalgią wspominał domowe obchody różnego rodzaju świąt, kiedy to rodzinie chodzili na nabożeństwa, wszyscy bez wyjątku elegancko ubrani. Tutaj zapiski wskazują mi największą i zarazem najsmutniejszą z różnic między naszymi światami — synagogę przy ulicy Żydowskiej.

Nie istnieje już w Szamotułach synagoga. Nie została się po niej nawet nazwa ulicy. Ktoś to wszystko zamiótł pod dywan, jakby nigdy nic innego nie stało w miejscu, gdzie dziś znajduje się obskurny parking, który przemierzają kloszardzi w drodze do sklepu monopolowego. Próżno szukać tu choćby tabliczki. To samo spotkało plac Sienkiewicza raptem kilkadziesiąt

metrów dalej, gdzie niegdyś stał kościół ewangelicki, a obecnie środek placu zdobi rzeźba upamiętniająca... wodociągi.

Dlaczego?

Wierząc wspomnieniom młodego wtedy Hollaendra, połowa mieszkańców była katolikami, drugą stanowili protestanci oraz Żydzi. Cała ta machina składająca się z zębatek i śrub tak od siebie różnych działała spokojnie, sobie tylko znanym rytmem. Grupy nawzajem dostosowywały się do siebie dla wzajemnych zysków — chrześcijańscy rolnicy zjeżdżali ze swoimi towarami w niedziele, a nie w soboty, w które to Żydów obowiązywał szabat, a to od nich zależał handel w tych stronach — funkcjonowało to bez zarzutów. Teraz nie ma po tym śladu.

Dlaczego?

III — Kaganek

Wojna nie rodzi bohaterów, jedynie ofiary. Ktokolwiek postanowił zasiać w naszej mentalności mechanizm odpowiedzialny za szukanie glorii i chwały we wzajemnym mordzie, musiał odznaczać się nieprawdopodobną ilością jakiegoś rodzaju mrocznego humoru. Zewsząd atakują nas wspaniali wojownicy-męczennicy sprawiedliwej i jedynej słusznej sprawy. Słusznej, bo naszej. Tak bardzo zakodowano mi w głowie perspektywę Polaków walczących o swoją sprawę w czasie I wojny światowej, że kiedy trafiłam na obszerny opis tych wydarzeń we wspomnieniach Georga, musiałam przystanąć na dłuższy moment.

Georg walczył po stronie niemieckiej. Ba, sam zgłosił się na ochotnika w przyływie ogólnonarodowej pewności o niechybnym zwycięstwie nad Francją. Łatwo mi zapominać, że tereny Szamotuł nie zawsze leżały pod biało-czerwonymi barwami, dla kogoś, kto sprowadził się tu w tamtych czasach były tu po prostu Niemcy. Zupełnie inny punkt widzenia na to samo miejsce i wydarzenia. Za to perspektywa, która pozostała taka sama i zmianie nie ulegnie to perspektywa matki.

Matki, która żegnała swoje ukochane dziecko, wiedząc, że może go już nigdy nie zobaczyć; która wiedziała, że w najlepszym wypadku czeka ich wielomiesięczna rozłąka pełna strachu i niepewności. Kiedy pożegnalne uściski i modlitwy snują się wokół żołnierzy jak niewidzialny całun żałobny, a zranione serca wyciskają z oczu łzy, niby pierwsze przelane krople wojennej krwi, przestają istnieć podziały. Gdy Doris Hollaender i setki jej podobnych żegnały swoich synów, to samo działo się we Francji, Anglii, Austrii... Wojny rodzą rozpacz jeszcze zanim padnie pierwszy strzał.

I wojna światowa przybiera jeszcze mroczniejsze barwy, kiedy człowiek pojmie, czym jest wojna okopowa. Żołnierze ściśnięci w błotnistych rowach po obu stronach, ostrzeliwują się wzajemnie w walce o przesunięcie własnego okopu... o kilka metrów do przodu. Miesiącami. Dzień w dzień jedni i drudzy w stanie najwyższego skupienia obserwują teren gotowi do strzału, gdy choćby mignie im cudzy czubek głowy. Może minąć wiele tygodni, zanim ta patowa sytuacja się zmieni.

W tym stanie ciągłego napięcia i nieuchronnej śmierci poza granicami okopów, gdzieś we Francji stacjonował oddział, do którego należał Georg. Swoje przetrwanie nazywa cudem, z czym nie sposób się nie zgodzić. Kiedy jedna chwila nieuwagi może popchnąć człowieka w objęcia śmierci, można stwierdzić, że spotkało go szczęście w nieszczęściu. Najpierw postrzał i przeżycie pod warstwami błota, potem zesłanie na front pod Verdun, gdzie pojedynczy żołnierz nie przeżywał dłużej niż delikatna jętka. Pomimo kul świszczących ponad głową i morderczego mrozu, udało się mu przeżyć i dostać pozwolenie na powrót do rodzinnych stron w marcu. Radość nie trwała długo — dwa miesiące później w maju 1917 Georg dostał się do niewoli.

Ciężka praca i warunki niewiele lepsze od tych okopowych — to przez trzy lata musiał znosić Georg razem z innymi jeńcami. Próby ucieczki kończyły się porażką i surowymi karami. W czasie trwania tej katorgi Georgowi udało się zdobyć przyjaciela, który wspierał go od czasu ich pobytu na wyspie Isle de Raye, pomocna dłoń to coś nieocenionego w tak niepewnym czasie. Nienazwany przyjaciel, aspirujący nauczyciel, gdy jeńców przeniesiono z wyspy do Francji, zachorował. Georg robił co w jego mocy, by go uratować, dniami zbierając leki, a nocami czuwając przy łóżku z zimnym okładem dla zbicia gorączki. Jakiś czas później przekazał jego matce to, co tamten zostawił po sobie po śmierci.

Nawet po przeżyciu walk w okopach, śmierć bliskiego przyjaciela odciska się palącą, czerwoną od bólu pręgą w ludzkim sercu. Los odbiera nam kogoś, kto stanowił oparcie w najczarniejszych godzinach. Kto podtrzymywał nas na duchu i pozwalał iść dalej przez życie. I kogo winić w tej tragicznej sytuacji? Zawodną medycynę? Niewolę u francuzów? Serba odpowiedzialnego za zamach w Sarajewie? Polityków? Boga?

IV — Lampiony

Wiosną 1920 roku Georg wrócił do Szamotuł, wtedy już leżących w granicach Polski. Mogę sobie tylko wyobrazić jego pełne radości i łez wzruszenia spotkanie z matką, dwoma siostrami i młodszym bratem Alexem. Niewielu ma tyle szczęścia, by przeżyć wojnę

i szczęśliwie powrócić do domu, gdzie zastają kochającą rodzinę. Georg był witany z honorami godnymi bohatera, na jego cześć świętowała cała gmina Żydowska w mieście, a Rabin wygłosił specjalne kazanie z okazji jego powrotu.

Wojna mogła się skończyć na papierze i dla polityków, ale jej widma kładącego się cieniem nad zwykłymi obywatelami, nie mogły powstrzymać żadne traktaty. Czy można kiedykolwiek pogodzić się z widokiem ludzkiej śmierci? Możliwym jest wymazanie z pamięci czasu, który wydobywa to, co w nas jako ludzkości najgorsze? Zespół stresu pourazowego dotyka byłych żołnierzy w szczególny sposób i nie oszczędził również Georga. Wyczerpanie, zawroty i bóle głowy, paniczny lęk przestrzeni sprawiający, że przejście przez ulicę staje się niemal niemożliwe — oto jest nagroda jaką otrzymują ci, którym obiecano chwałę i bogactwa w zamian za walkę z narażeniem życia. Dziś zapewne znalazłoby się kilka instytucji, do których Georg i jemu podobni mogliby się zwrócić o pomoc, wtedy niestety z traumą należało walczyć w samotności, zwłaszcza jeśli nie miało się środków do życia.

Po kilku miesiącach Georg zaczynał wracać do siebie i pomagał w prowadzeniu firmy, ale jak sam wspominał, lęki ciągnęły się za nim długimi latami. Po dłuższym czasie pogarszające się warunki w Szamotułach skłoniły go do wyjazdu razem z matką do Köpenick, gdzie jedna z jego sióstr prowadziła sklep z odzieżą. Firmę i mieszkanie w Polsce sprzedano za grosze. W czasie tych paru lat, które Georg spędził w Niemczech, poznał swoją żonę Renée i doczekał się córki. O jego dalszych losach niewiele wiadomo oprócz tego, że w czasie II wojny światowej mieszkali w Holandii i ukrywali się ze względu na pochodzenia Georga. Zastanawiam się, jak czuł się Georg w tym czasie. Walczył jako ochotnik w niemieckim mundurze, a dwadzieścia lat później ten sam kraj uważa, że tacy jak on są odpowiedzialni za wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na Niemcy. Niewybaczalna zdrada.

Szpony zagłady dosięgły trójkę sióstr Georga — Cecilie, Hedwig oraz Johannę. Natomiast jego młodszemu bratu Alexandrowi udało się wyjechać do USA i zostać wybitnym badaczem z dziedziny biologii radiacyjnej. Dlaczego dowiaduję się o nim dopiero teraz? Czuję, że powinnam, choć podświadomie nosić z tyłu głowy nazwisko Alexander Hollaender i pamiętać, że pochodził z moich małych Szamotuł. Jego osiągnięcia są nadzwyczajne, a nikt nie pofatygował się nawet, by przetłumaczyć na język polski jego krótkiego artykułu na wikipedii.

Ile wspomnień kryją oczy spoglądające na nas z czarno-białych fotografii? Tak wiele historii zakopano pod wyżartym przez czas i wilgoć brukiem parkingów, w ścianach niszczących budynków, między kartkami dzienników i listów leżących wśród gruzów, być może skazanych na wieczne zapomnienie. Dlaczego nie chcemy pamiętać naszej własnej

przeszłości? Dlaczego od lat największym wrogiem ludzkości jest drugi człowiek? Nie trwajmy w niepamięci, w niszczącym nas wszystkich milczeniu. Pokażmy to, czego już nie ma. Posmakujmy smutków cudzych wspomnień. Dajmy głos tym, którzy nie mogą powiedzieć już słowa.